

# Marian Mazurek

---

## Na Wschodzie

---

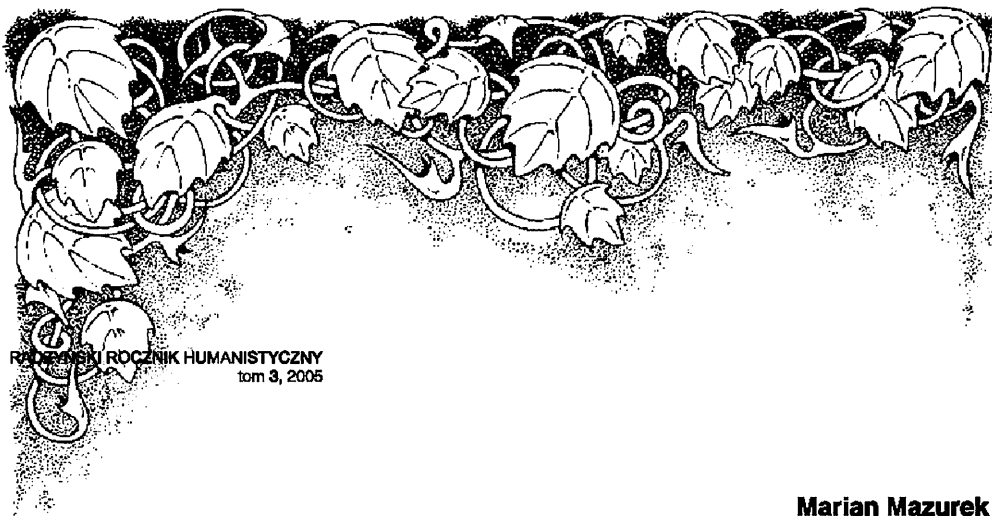
Radzyński Rocznik Humanistyczny 3, 215-229

---

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Rocznik Humanistyczny  
tom 3, 2005

**Marian Mazurek**

## **Na Wschodzie**

### **1. Dziadek**

**P**odstawą moich wiadomości o dziadku Macieju Malarzu są wspomnienia matki, kilka fotografii, opowieści nieżyjącego od roku wuja Stefana oraz to, co sam zapamiętałem. Wiele razy opowiadał mi własne przeżycia. Było ich dużo, niektóre wprost niewiarygodne...

Urodził się 24 lutego 1891 r. w Skokach. Ojciec jego, Józef, miał nieduże gospodarstwo rolne, matka, Marianna z domu Olender, pochodziła z tej samej miejscowości. Dziadek był najstarszym z czterech synów z tego małżeństwa. Młodszy brat, Władysław, wyjechał do Brazylii, skąd wrócił kilka lat przed wojną. Za część zarobionych pieniędzy wyprawił różaniec za matkę i ojca. Ożenił się w 1939 r., mieszkał w Warszawie i praktycznie nie utrzymywał z rodziną bliższych kontaktów. Zginął w Powstaniu Warszawskim.

Drugi brat, Piotr, zginął w I wojnie światowej. Nic więcej właściwie o nim nie wiadomo.

Najmłodszy brat, Wiktor, był członkiem orkiestry strażackiej i zmarł w roku 1929, na skutek przesilenia w czasie zwózki drewna z lasu. Był chrzestnym ojcem mojej matki, która – jako pięcioletnia wówczas dziewczynka – zapamiętała jego uroczysty pogrzeb. Z chwilą narodzin Wiktora zmarła jego matka, Marianna. Pradziadek Józef został wdowcem z czterema małymi synami. Rok później pradziadek ożenił się po raz drugi, z którego to małżeństwa miał jeszcze troje dzieci.

Macieja, jako najstarszego, w wieku 14 (może 15) lat oddano na służbę do bogatego gospodarza z Licht, Nowickiego. Kilka lat służył u Nowickiego, a później wrócił do

Skoków, gdzie był parobkiem u Skrzypczaka, będącego wówczas wójtem w Czemiernikach.

W 1911 r., jako dwudziestoletni chłopiec, otrzymał wezwanie do stawienia się „na losy”, czyli pobór do carskiego wojska. Każdy rekrut sam losował sobie swój los, tzn. kartkę, na której znajdowały się cyfry: 3, 5, 7, 10, 15, 20, 25. Oznaczały one po prostu liczbę lat, jaką nieszczęśnik miał służyć w wojsku. Dziadek wyciągnął kartkę z cyfrą 7. - Siedem lat służby to nie mało, ale inni mieli gorzej – wspominał po latach.

Miał przydzieloną jednostkę w Petersburgu, gdzie musiał stawić się w wyznaczonym terminie. Skrzypczak, u którego pracował, dał mu na drogę poć słońiny oraz „blachę” chleba. Bilet koleją do Petersburga kosztował 150 rubli, a morga pola 100 rubli. Kto miał pieniądze – jechał koleją, kto nie miał – szedł piechotą. Dziadek nie miał. Szli grupą kilkunastu takich samych, miejscowych, wiejskich chłopców. Ksiądz odprowadził ich do Bugu, a później szli już sami. Ta podróż trwała ponad miesiąc. Co jedli, gdzie spali, nie wiem. Dziadek wspominał, że „u ludzi”. Zapewne jak to ludzie, jedni byli dobrzy, inni psem poszczuli.



Ćwiczenia do przysięgi trwały pół roku. Wszystko „po rusku”: komendy, nazwy oraz życiorysy wszystkich Romanowów. Kto nie umiał pisać i czytać, musiał się nauczyć. Poza tym marsze po 60 km dziennie, byle jakie jedzenie i za byle co kara stania w pełnym oporządzeniu na baczność, twarzą do słońca przez dwie godziny. Kto padał, polewano go wodą i zaczynał od początku.

Dziadek służył w piechocie, a po dwóch latach – jako że był wysoki, przystojny, prosty i umiał czytać – przydzielono go do straży Pałacu Zimowego.

W 1981 r. znalazłem w jakiejś francuskiej gazecie fotografię z czterema córkami ostatniego cara Rosji. „Przetestuję Dziadka”, pomyślałem. Wyciąłem zdjęcie i przywoziłem pokazać Dziadkowi. Miał wtedy 90 lat. Mówię:

- Dziadziu, a kto to jest na tym zdjęciu?

Dziadek wziął fotografię do ręki, popatrzył na to zdjęcie, później na mnie, uśmiechnął się i mówi:

- To są cztery córki Mikołaja II Romanowa, ostatniego cara Rosji: Olga, Tatiana, Maria i Anastazja. Był jeszcze książę Mikołaj Mikołajewicz, ale tu go nie ma. On był stale chory. Tylko mieli z nim kłopoty. Najładniejsza była Olga. Te drugie też były ładne, tylko piegowate. Jedna była ruda. Ja je wszystkie pamiętam, bo nie raz otwierałem im drzwiczki do karety, jak gdzieś wyjeżdżały, albo przyjeżdżały. Podstawiałem im schodki, bo miały długie sukienki, a drzwi karety były wysoko. Szkoda ich, bo wszystkie bolszewiki zabili, jak była rewolucja.

Po wybuchu wojny światowej jego formację skierowano do Moskwy, a potem na zachód, do „Kicberga”, czyli do Królewca. Dla Dziadka Królewiec na zawsze, aż do śmierci, pozostał jednak „Kicbergiem”.

\*\*\*

Gdy widział ludzi pijanych, lub pijących, zwykł mawiać:

- Ja całe życie nie paliłem i nie piłem. Jak byłem młody, to nie miałem za co, a jak jestem stary i mam za co, to nie mogę i mi szkoda. I przez to żyję.

Tu zaczynał opowieść:

- Jak nas przywieźli do tego Kicberga, to wszyscy rzucili się rabować sklepy żydowskie. Brali po kolei, co było, a najwięcej jedzenie i wódkę. Na noc dowódcy pozaciągali nas na kwatery i całe wojsko było pijane. Dowódcy zresztą też. Pili tak chyba ze dwa dni. Ja i paru innych nie piliśmy. W nocy wszyscy spali jak barany, a Niemcy przyszli po cichu i wyrznęli połowę wojska, zanim się kto obudził. Bo warta też była pijana. Myśmy, trzeźwi, uciekli przez rzekę na drugi brzeg i ocaliliśmy. Ci co byli pijani i udało im się dotrzeć do rzeki, to się potopili, bo woda była zimna i głęboka.

Pamiętką Dziadka z wojny światowej była prawa ręka przestrzelona w stawie, w miejscu, gdzie palec środkowy styka się z dłonią. Rękę miał dosyć sprawną, tylko palca prawidłowo nie mógł zgiąć. Mimo tego nie zwolniono go ze służby, do pociągania za cyngiel służył wszak inny palec.

O rewolucji i bolszewikach Dziadek dowiedział się będąc na południu Rosji, „jeszcze daleko za Kurskiem”. Dowódcy opowiadali, że bolszewicy to motłoch i antychrysty.

Kościół i cerkwie palą, popów zabijają, z wojska uciekają, bandy tylko tworzą i rabują. Ludzi zabijają.

- Wy, Polacy, składaliście przysięgę carowi i służcie carowi! Bo jak was bolszewiki złapią, to pozabijają.

Dlatego po październiku 1917 r. pozostał w wojsku dowodzonym przez carskich generałów na południu Rosji. Gdy jednak Polacy dowiedzieli się, że wojna w Europie się skończyła, postanowili wracać do domu.

Jesienią 1918 r. dotarł do Kurska i wraz z grupą kilkudziesięciu takich jak on czekał na pociąg do Polski. Był w mundurze „biełogwardiejca”, a więc zwolennika cara i wroga rewolucji. W tłumie czekających na pociąg spotkał brata swej matki – wuja Olen dra ze Skoków. Wujek palił papierosa. Podszedł do nich kolejarz, lub raczej strażnik kolejowy, bo był pod bronią, i poprosił by poczęstować go papierosem. W rewanżu zdradził im w tajemnicy, by nie jechali w mundurach, gdyż jak tylko napotkają na swej drodze bolszewików, ci zabiją ich jako wrogów. W razie zaś gdy napotkają Niemców, zostaną potraktowani jak jeńcy wojenni i wywiezieni do niewoli.

- Trzeba jechać w cywilnych ubraniach i udawać zesłańców syberyjskich, tak jest bezpiecznie – przekonywał.

Jednak zdobycie cywilnego ubrania było problemem. Po naradzie wujek Olen dra stwierdził, że on, mimo wszystko, jedzie dalej w mundurze. Ma żonę, dzieci, musi wracać do domu.

- A ty, Maciej, jak chcesz, to zostań – rzekł.

Dziadek został. Wynajął się do pracy w cukrowni, by zdobyć pieniądze na bilet do domu i na zakup cywilnego ubrania. Jako cywil musiał bowiem wykupić bilet, żołnierze wracali za darmo. Pracował w cukrowni kilka miesięcy, zarobił na ubranie i bilet. Gdy nadszedł czas, że następnego dnia miał już kupić buty, spodnie, koszulę, marynarkę i bilet, w nocy ktoś ukradł mu pieniądze. Rano nie poszedł więc na stację kolejową, lecz do cukrowni. Pieniądze się zmieniały, ceny rosły. Płacili innymi, a bilet można było kupić za inne.

Wreszcie pod koniec 1919 r. udało mu się wrócić do domu. Z ośmioletniej służby carowi pozostało mu kilka medali, którymi „dzieci później się bawiły i gdzieś pogubiły”.

\*\*\*

Nie witano go entuzjastycznie. Macocha, drugie dzieci. Częścią jego majątku już dawno się podzielono. Przyszła mu do głowy myśl, że może lepiej by było, gdyby w ogóle nie wracał. W rodzinnym domu nie było dla niego miejsca. Postanowił się ożenić. To też nie było łatwe: miał prawie 30 lat, bez majątku, bez dorobku, bez grosza przy duszy. Ożenił się w Czemiernikach w 1921 r. z dziewczyną, która chciała wyjść za niego i miała dach nad głową – dom, który do dziś stoi na naszym podwórku.

Życie dwojga biednych ludzi nie było łatwe. Musieli dorabiać się wszystkiego od początku. Czasy były trudne. Kraj wycieńczony wojną i wielki kryzys gospodarczy. Do tego niepowodzenia... Pierwszy syn zmarł zaraz po urodzeniu. „Nic to, abyśmy zdrowi byli”. Byli... do pewnego czasu. Z pracy i wysiłku babcia zachorowała i ko-

nieczny był pobyt w szpitalu. Leki były drogie, za szpital też trzeba było słono płacić, a w domu bieda i małe dzieci. Wstawał o wschodzie słońca, brał masło, śmietanę, jaja, kurę i szedł piechotą do Lublina. Na targu sprzedawał te produkty i szedł do szpitala. Płacił za leki i pobyt w szpitalu, a na wieczór wracał (też piechotą) do domu.

\*\*\*

Dziadek nigdy nie skarżył się na los. Radził sobie na różne sposoby, ale zawsze skutecznie. Dorabiał u ludzi koniem, orał, siał, woził zboże. Był pracowity i oszczędny. Był dobrym i mądrym człowiekiem. Wnuków kochał i często dawał im parę groszy „na lody, na cukierki”.

Ostatnie 7 lat życia spędził z moją mamą. Przyszedł do Bełżęca, jak mówił, nie z chęci, lecz z potrzeby. Szkoda mu było, że córka jest sama po śmierci zięcia, mego ojca, którego cenił, szanował i kochał jak syna.

Często przyjeżdżałem do Bełżęca, gdy był tam Dziadek. Wtedy opowiadał mi historię swego życia. Zabierałem często ze sobą Monikę. Miała 5-6 lat. Biegała do kuchni, gdzie w prostokątnej dziurze za piecem trzymał swój portfel z mrugającą dziewczyną. Monika z radością wyciągała ten „pugilares”, a Dziadek zawsze dawał jej pieniądze „na lody, na cukierki”.

Całe życie był zdrowy. Zmarł piękną, naturalną śmiercią, zasypiając na zawsze 17 stycznia 1985 r. Przed śmiercią prosił, by choć na kilka godzin trumnę z jego ciałem przywieźć na Kocką ulicę. Spełniliśmy to życzenie. Żył 93 lata i 11 miesięcy. Przed śmiercią był najstarszym mężczyzną w parafii Czemierniki.

[...]



## 2. Ojciec

### Aresztowanie

Wigilia Bożego Narodzenia 1944 r. przypadała w niedzielę. Były więc trzy dni świąt. Placówki UB zdawały sobie sprawę, że na te dni przyjdą do domów z lasu wszyscy, którzy jeszcze broni nie złożyli. Liczono, że będzie to doskonała okazja, by wyłapać resztę akowców i żołnierzy podziemia innych formacji.

Ojciec od lipca 1944 r., czyli po odwróceniu Niemców, poczuł się bezpieczny. Wszak tych, którzy ponad dwa lata go poszukiwali, już nie było. Przebywał w domu, pracował z Dziadkiem w polu i w kaszarni. Miał wielu kolegów, z którymi się przyjaźnił i których odwiedzał. Najlepszym był Ludwik Bajda z Uśniaka<sup>1</sup>, syn przyjaciółki babci, Anny – Stachowej Bajdziny.

24 grudnia 1944 r. po powrocie z kościoła i zjedzeniu obiadu, wczesnym popołudniem, drogą na skrót przez zamrażnięte pola wybrał się Ojciec do Ludwika. Wszedł do mieszkania, usiadł, rozpoczął rozmowę. I wtedy Ludwik Bajda mówi, aby zaczął chwilę, bo musi iść do obory, wrzucić krowom do żłobu trochę siana.

- A potem sobie porozmawiamy.

Gdy po wykonaniu pracy wychodził z obory, dostrzegł trzech enkawudzystów z bronią, wchodzących do domu. Przerażony cofnął się do obory, ukrył w sianie i czeka, co będzie dalej. W tym czasie trzej oficerowie z czerwoną gwiazdą na czapkach weszli do domu Bajdów i pewni, że Ojciec mój jest Ludwikiem Bajdą, chcą go zabrać ze sobą. Ojciec pokazuje dokumenty, Bajdzina tłumaczy, że to nie jest jej syn, tylko Tadeusz Mazurek, który czeka na jej syna, gdyż od kilku godzin nie ma go w domu. Oficer puszcza Ojca i każe mu usiąść. Drugi, stojący obok, wyjmuje listę, na której zapisano około 30 osób z Bełcząca i innych wsi. Zwraca się do Ojca i pyta:

- A brata masz?

- Nie mam. Mam tylko 4 siostry, a brata nie mam i nigdy nie miałem.

- A Mazurek Władysław to nie twój brat?!

- Nie. Ja nie mam brata.

Po tej rozmowie oficerowie wyszli. Po chwili wrócił Ludwik. Ojciec mówi:

- Ludwik uciekaj, bo cię wywiozą do Rosji.

Potem wyszedł od Bajdów i idzie (już nie przez pola, ale drogą) do domu. W tym czasie podjeżdża drugi samochód i zatrzymuje się koło domu Feliksa Siwka. Feliks – osiemnastoletni chłopak, był w domu. Ojciec szedł pewny, że nic mu już nie grozi. Z samochodu wyskoczył jednak enkawudzista z bronią.

- Stoj! Wchodzi na maszynę!

Z pijanym człowiekiem z rewolwerem w garści raczej się nie dyskutuje. Na skrzyni samochodu było już kilku mężczyzn, wśród nich znalazł się Ojciec, a za chwilę i Felek Siwek.

---

<sup>1</sup> Część Bełcząca – Kolonia Uszniak. W Bełczącu mówi się Uśniak.

Dookoła samochodu zaczęli gromadzić się okoliczni mieszkańcy, płacząc i prosząc enkawudzystów, aby nie zabierali tych chłopaków; proponując wódkę i zapraszając do domów na kolację. Bez echa.

Ojciec dostrzegł wśród ludzi swego sąsiada, Stefana Karczmarza. Krzyknął do niego:

- Leć szybko do nas. Powiedz, że mnie aresztowali. Niech mi ojciec da paczkę z jedzeniem, kożuszaną czapkę i rękawice.

Stefan w te pędy pobiegł, a wpadłszy do domu dziadków, opowiedział co się stało. Dziadek szybko zawinął w jakieś płótno pół chleba, 2 pęta kiełbasy, coś jeszcze do zjedzenia, schwycił czapkę, szalik i rękawice. Babcia, dziadek i 4 ciocie wybiegły z domu, a w tym czasie dwa samochody, ciężkie i głośno warczące, wjechały w drogę z Uśmiaka do dworu. Dziadek mówi:

- Lećmy prędko do dworu. Może tam się zatrzymają.

Odległość około 1,5 km pokonali jak na skrzydłach. Gdy dobiegli, na drodze obok dworu stały dwa kryte samochody, na których siedzieli aresztowani, pilnowani przez uzbrojonych enkawudzystów. Dziadek podbiegł do samochodu, na którym stał Ojciec i chciał mu podać paczkę i czapkę. Wtedy stojący obok strażnik, uderzył go kolbą w głowę. Dziadek upadł, paczka wypadła mu z ręki. Ludzie zaczęli krzyczeć i płakać. Babcia i dwie ciocie zajęły się leżącym dziadkiem, a ciocia Zosia złapała paczkę i podbiegła z nią do Ojca. Strażnik zamachnął się karabinem.

- Komu?! – krzyczy.

- Bratu! – odpowiedziała i rzuciła paczkę Ojcu na samochód.

Po chwili oba samochody odjechały, a na placu obok dworu zostało kilkadziesiąt zalanych łzami ludzi.

[...]

## **Buty z cholewami**

Buty w okresie okupacji to był majątek. Na co dzień chodziło się w drewniakach. Najczęściej podeszwa była zrobiona z olszowego lub lipowego drewna. Miejscowy szewc przybijał do niej stare przyszwę, czyli część okrywającą wierzch stopy. Całość malowano czarną farbą, dziegciem lub smarowano pastą „swojej roboty”, sporządzoną z sadzy i starego tłuszczu. Do tego sznurowadła i buty gotowe. Buty w całości wykonane ze skóry: pantofle lub oficerki mieli tylko nieliczni. Do tych nielicznych należał Ojciec. Po jego powrocie z niewoli w Niemczech dziadek, sobie tylko wiadomym sposobem zdobył potrzebną skórę, a miejscowy szewc wykonał eleganckie oficerki. Na nogi zakładał wełniane skarpety, zrobione przez babcię lub ciocię i po włożeniu butów wyglądał elegancko. Największy mróz nie był wtedy straszny.

W tych butach go aresztowano i w tych butach zajeżdżał do Stalinogorska, przez Smoleńsk, które to miasto rozpoznał przez dziurę w ścianie wagonu, gdyż wcześniej widział je w niemieckiej kronice filmowej. W czasie pierwszego apelu w obozie, trwającego kilka godzin na dwudziestostopniowym mrozie, te buty na nogach Ojca przyuważał jeden ze strażników. Podszedł i wskazując na nogi, krzyknął:

- A! Polskij oficer! Znimaj sapogi!



Tam nikt rozkazu nie powtarzał dwa razy. Po kilkunastu sekundach Ojciec stał już na śniegu tylko w skarpetach i podskakiwał, by nie dopuścić do odmrożenia stóp. Widząc to starszy więzień, Polak, poradził mu, by szedł za garaż, gdzie leżą stare opony. - Urznij kawałek tej opony i przywiąż sznurkiem do nóg. Dobrze gdybyś znalazł jeszcze jakieś rękawy od starej kufajki, to wyglądałbyś jak tamten z trzeciego szeregu, ale nóg byś nie odmroził. W tych butach z opon pochodzisz dotąd, aż umrze taki, co ma buty lepsze od twoich. Tu wszyscy tak robią.

### Te cholerne wrony

Od wczesnego dzieciństwa zauważyłem wyraźną antypatię Ojca do wron. Sroki, szpaki, wróble mogły mu chodzić po głowie i nic. Wrony polecał nam ganiać zawsze i wszędzie a sam też rzucał za nimi czym tylko miał pod ręką. Nie wiem co w końcu skłoniło go do tego wyznania, ale kiedyś, gdy siedzieliśmy na progu stodoły i odpoczywali po przesiewaniu wymłóconego ziarna, Ojciec spojrział na pole, gdzie łąziły wrony. Spojrział raz, później drugi. W końcu nie wytrzymał, chwycił kamień i rzucił w ich stronę.

- Te cholerne wrony! To złodzieje – mruknął i zaczął swą opowieść.

- Jak byłem w Rosji, wezwali nas kiedyś wszystkich Polaków ze stolarni i innych części obozu, na stację kolejową. Stacja to był jeden barak, jedna dyżurka, bez rampy, jakieś słupy, druty i to wszystko. Stała tam lokomotywa opalana drewnem, za nią trzy, może cztery wagony. Same podłogi, tzw. lory. Nie nich leżała długa na kilka metrów żeliwna konstrukcja. Właściwie był to odlew żeliwny. Prawdopodobnie jakaś podstawa do traku lub innego dużego urządzenia. Ciężkie jak ołów leżało to na dwóch lorach, gdyż na jednej się nie mieściło. Komandir ostanowki, enkawudzista, mówi do więźniów, że nada eto wygruzit'. Polecił, by każdy znalazł sobie coś, co mu w tym pomoże, np. kawałek drutu, łom, drąg, gałąź itp. Jedni więźniowie z lewej strony mają to ciągnąć. Ci, którzy stali z drugiej strony wagonu, mieli spychać na ziemię z wysokości około 1 metra na dwudziestostopniowym mrozie.

Polacy popatrzyli i mówią do komandira, że należałoby zrobić jakąś rampę do rozładunku, np. ułożyć gałęzie, klocki drzewa, metry przeznaczone na opał lub coś podobnego, aby łagodnie zsunąć to żelastwo. Inaczej, jeśli spadnie na zamrzniętą ziemię, na pewno się połamie.

- Wy, Polaki, durnyje fiłozofy. Rabotať nada, nie ozorem mielit'! Dawaj, ooop!

Baach! – spadła ta żeliwna konstrukcja na ziemię i zrobiło się 4 czy 5 z jednej. Mówimy, że przecież uprzedzaliśmy, że tak będzie. Ani to teraz spawać ani znitować się nie da, a przywiezione z Urala, 2 tysiące kilometrów.

- Nasze dieło było wygruzit'. Pryjdiot mechaniki, oni budut montirowať – przytomnie ripostował komandir – A to, szto ozorem darmo mielili, wygruzit' jeszcze boczki iz etogo wagona!

W jednej beczce klepka miała duży sęk. Ojciec kopnął w ten sęk i okazało się, że w środku są śledzie. Szybko wyciągnął dwie ryby, odczył z kolegą beczkę i zakopał te śledzie w śniegu. Gdy skończyli robotę, pobiegł, by je zabrać. Niestety śledzi w śniegu już nie było. Na miejscu dostrzegł tylko liczne ślady wron.

## Jednak niektórzy przeżywali

Brak godziwych warunków mieszkaniowych, łachmany, które były ubraniem więźniów oraz głód powodowały, że śmierć zbierała żniwo bardzo obfite. Śmierć była zjawiskiem tak częstym, że sam fakt śmierci nie przerażał już nikogo. Jedynie myśl, że ciało będzie rozszarpywane przez drapieżniki oraz wrony, była tym, co wywoływało ciarki na plecach. O normalnym pochówku w zamarznętej ziemi nie mogło być bowiem mowy. Przysypane śniegiem ciało, mimo woli stawało się żerem dla wilków, dzikich psów i wron. Nie zawsze też w walce o przetrwanie górę brały odruchy ludzkie. Bywało, że w człowieku odzywały się dzikie zwierzęce instynkty. Tym bardziej więc przykłady więziennej solidarności i wzajemnej pomocy zasługują na szacunek.

Jednym z kolegów Ojca, wywiezionym razem z Nim był Felek Siwek z Bełcząca. Urodzony w 1925 r., był najmłodszy w grupie aresztowanych razem z Ojcem. Miał zaledwie 19 lat. Był chyba najmniej odporny psychicznie i w pewnym momencie załamał się. Przeziębiony, zakatarzony, z wysoką gorączką nie był w stanie wstać z pryczy, na której spał. Służba zdrowia w obozie praktycznie nie istniała. Felek trząsał się z gorączki, płakał i nie chciał już żyć. Leżał nie przyjmując żadnego pożywienia. Tadeusz Chudzik i Ojciec przez kilka dni byli przy nim w każdej wolnej chwili. Dodatkowo, na siłę, okrywali go szmatami i karmili. Przestać jeść, znaczyło bowiem umrzeć. Wreszcie kryzys minął. Chłopiec wracał do zdrowia, nabierał sił. Uwierzył, że ma szansę na przeżycie. Przeżył, wrócił do Bełcząca i był naszym sąsiadem. Czasami mawiał:

- To wyście, dwa Tadeusze, wydarli mnie śmierci.

Walka o życie to walka z mrozem i głodem. Obozowe jedzenie, nie dość że było go mało, o wiele za mało, to w dodatku było ohydne. Zupa ze zgniłej brukwi, śmierdząca i powodująca choroby przewodu pokarmowego, na wpół zgniła i brudna kwaszona kapusta, to obozowy dzień powszedni. Czasami pojawiały się kartofle, oczywiście zmarznęte i nie obierane, zawsze brudne wrzucane do kotła. Ojciec wspominał, że kiedyś przez dwa tygodnie jedli jaglaną kaszę. Codziennie była więc jaglana kasza, gotowana na wodzie i nic więcej. Marzenia były więc przyziemne: normalny chleb, normalne ziemniaki ze skwarkami ze słoniny. Za jaglaną kaszą – jak pamiętam – Ojciec nigdy później nie przepadał.

Bardziej odważni i zdrowi więźniowie radzili sobie w walce z głodem wszelkimi sposobami. Jedzono rzeczy, zdawać by się mogło, niejadalne. Wszystko co żywe w pobliżu obozu: zwierzęta, ptaki, gryzonię zostało zjedzone. Zjedzono trawę, leśne owoce, grzyby uznawane za niejadalne, pędy roślin. Wygłodzony organizm trawił wszystko, co dawało mu odrobinę energii. Kiedyś, podczas pracy na stacji, Ojciec wypił półlitrowy kubek oleju rzepakowego. W normalnych warunkach reakcja organizmu byłaby wiadoma. Wtedy nie.

- Nawet mnie nie przegoniło - wspominał.

Jakieś pół kilometra od baraku, w którym mieszkał Ojciec, była kuchnia dla załogi obozu. Za kuchnią był zaś śmietnik, gdzie wysypywano odpady z kuchni. Leżały tam kości zwierzęce, łby, kopyta, czasami obierki z ziemniaków. W nocy, pośród najwięk-

szych mrozów, wiatrów i śnieżyc wymykał się Ojciec z baraku, brnął przez zasy py sięgające pasa, by wygrzebywać na śmietniku coś do jedzenia. Koledzy gotowali już wodę ze śniegu w jakiejś puszcze na piecyku, aby zaraz po jego powrocie wrzucić zdobycz. To była najlepsza zupa pod słońcem. Dzielono równo, sprawiedliwie. Męska przyjaźń wypróbowana w takich warunkach nie ma sobie piękniejszej.

## Wacek

Miałem wtedy 9 lat. Po powrocie ze szkoły siedziałem przy stole i odrabiałem lekcje. Był piękny, kwietniowy (może majowy) dzień. W pewnym momencie przed okno naszego domu zajechał motocykl z koszem. Kierowca wstał, rozejrzał się dookoła, zdjął z głowy skórzaną pilotkę i skierował swe kroki w stronę domu. Przyglądałem mu się z ogromnym, dziecięcym zaciekawieniem. Mama jednak poczuła niepokój, bo wygląd przybysza mógł wskazywać na milicję lub UB. Rozległo się pukanie do drzwi. - Proszę – powiedziała mama drżącym głosem.

Naszym oczom ukazał się wysoki mężczyzna w wieku 40-45 lat, o pociągłej twarzy. Człowiek zorientował się chyba z niepokojem, jaki wzbudził w gospodyni, gdyż rzekł szybko:

- Jestem Wacław Skwarek. Czy tu mieszka Tadeusz Mazurek?

Mama odpowiedziała, że tak, ale w tej chwili jest w kaszarni. Robi kaszę.

- Proszę zaczekać – dodała – Zawołam męża.

Po chwili wszedł Ojciec. Zrazu nie poznał przybysza, zatrzymał się szukając słów. Nieznajomy uprzedził go jednak. Spytał:

- Tadeusz, poznajesz mnie?

Nastąpiła scena, której nie sposób opisać. Padli sobie w ramiona i wybuchnęli płaczem. Mama też, a ja stałem osłupiały nie wiedząc co się dzieje.

- Wacek, ty żyjesz? – szlochał Ojciec – A oni nas wszystkich chcieli wymordować.

Ile dni był u nas Wacek, nie pamiętam. Na pewno kilka dni. Razem z Ojcem, a później Felkiem Siwkim i Tadeuszem Chudzikiem siedzieli, rozmawiali, pili wódkę, jedli, płakali, później spali, wstawali, jedli, pili wódkę, płakali, spali, wspominali, płakali, jedli, pili.

Później pojechali z Wackiem do wsi Turzystwo koło Woli Gułowskiej. Ojciec wrócił po kilku dniach wozem na gumowych kołach, razem z synem Wacka. Wóz został u nas, jako drugi taki w Bełczącu. Był to prezent od Wacka dla Ojca.

- Ja robię wozy, a ty jeździsz takim żeleźniakiem. Nie pozwolę na to – powiedział Wacek.

Wóz był piękny, malowany na zielono, obręcze przy kołach miał czerwone. Ojciec dorobił drabinki, siedzenie, okułał to i był bardzo dumny z posiadania tak pięknego zaprzęgu.

Kim był ten człowiek? Nikt nie nazywał go inaczej jak Wacek. Wacek i tyle. Wszyscy wiedzieli, o którego Wacka chodzi. Był jeszcze wujek Wacław Jaszcz, ale wujek to był „Wacław Jaszcz”. Nie Wacek. Z Ojcem w niewoli w Niemczech był Wacław Kula z Poizdowa. O tym się mówiło „Wacek Kula”. Ten z Turzystwa to był Wacek.

Jesienią 1944 r. za przynależność do AK Wacek został aresztowany przez NKWD i „naszych”. Osadzono go zrazu na Zamku Lubelskim, a potem dołączono do jakiegoś transportu i wywieziono do Rosji. W domu została żona i dwóch dorastających synów. Dodatkową winą, jaka na nim ciążyła, było posiadanie warsztatu kowalskiego przez jego ojca, w którym Wacek pracował.

- Burżuj! Kułak! Pomaga AK! A może i sam akowiec?

Takimi zarzutami można było obdzielić wówczas kilku kandydatów na wycieczkę „na białe niedźwiedzie”. Wacek dźwigał ten bagaż zarzutów sam i dlatego powieziono go do Stalinogorska. W czasie, gdy mój Ojciec z kolegami rąbał tajgę, rznął kloce i z tych desek, jako stolarz (Ojciec w każdej niewoli był stolarzem) budował baraki, los zetknął go z komandem kowali, któremu szefował Wacek. Kierował grupą nieszczęśników, którzy z porwanych, porzewiałych lin stalowych, znajdujących „diabli wiedzą gdzie”, robili gwoździe. Te gwoździe potrzebne były stolarzom początkowo do przybijania desek do ścian baraków, a później do robienia dwuosobowych, trzypiętrowych prycz do spania.

Barak przeznaczony był teoretycznie na 100 więźniów, jednak spało w nim kilka razy po 100. Na 6-osobowej trzypiętrowej pryczy spało więc kilka razy po 6 więźniów. Zbite takimi gwoździami z odzysku „łóżko”, nie wytrzymało ciężaru. Już pierwszej nocy kilka prycz rozleciało się jak domki z kart. Po przeprowadzeniu obozowego dochodzenia „samoje głównie wierchownoje naczalstwo łagieria” uznało, że winnym jest „komandir kowaliow”, gdyż zrobili złe gwoździe, a on sam (czyli Wacek), popełnił sabotaż. Za to kara mogła być tylko jedna – śmierć. Następnego dnia do małej kajutki za stolarnią dwóch strażników przyciągnęło Wacka i pod nieobecność stolarzy zamknięto go tam na gołej ziemi w temperaturze trzydziestu stopni poniżej zera. Pod drzwiami do tego pomieszczenia znajdował się próg zrobiony z kawałka balika, gruby na 6, może 8 cm, przybity dwoma prawdziwymi gwoździami 6-calowymi do podwaliny. Następnego dnia po południu stolarze, a wśród nich i mój ojciec, usłyszeli, że w komórce jest człowiek. Gdy pilnujący ich sierżant Jegorow wyszedł na dwór, szybko nawiązali kontakt z uwięzionym Wackiem. Zapada decyzja. Pod podwaliną podano Wackowi obcęgi, którymi wyciągnął gwoździe, aby zdjąć próg. Otwory po gwoździach powiększono, gwoździe skrócono o połowę i w ten sposób można było w każdej chwili wyjąć próg. Wtedy tworzyła się szpara około 4 cm między drzwiami a podwaliną. Znalaziono starą puszkę po konserwie oraz starą patelnię. W czasie obiadu kilku pracujących w stolarni więźniów wlało do tej patelni 2-3 łyżki zupy ze swych menażek i podano Wackowi. Każdy ułamywał kęs chleba i wrzucał do tej zupy. W największej tajemnicy, wykorzystując nieuwagę strażnika podnoszono próg, wkładano patelnię i zamykano próg przetykając gwoździami. Dzięki tym akcjom Wacek nie dał się zagłodzić. Po kilku dniach przyszło trzech strażników i nie mogli się nadziwić, że więzień wciąż żyje. Nie umarł z głodu i nie zamarł. Sierżant Jegorow wyciągnął pistolet i przyłożył Wackowi do głowy.

- Ubiju sukinsyna!

- Durak! – mówi drugi, ospowaty – Jeśli on, swołocz, nie padoch, budiet jeszcze rabotat' w kamienilom.

Dali Wackowi 10 minut na uprzątnięcie celi. Ktoś podał mu kawałek deski i ołówek, którym szybko napisał: „Wacław Skwarek, Turzystwo poczta Wola Gułowska, pow. Łuków”.

- Nogi się pode mną ugęły – wspominał Ojciec – Krew uderzyła mi do głowy, w oczach pociemniało.

- Chłopcy, mówię, to mój rodak. Sąsiad prawie. Na odpust do Woli Gułowskiej się chodziło na 15 sierpnia. Wacek, Bóg cię prowadź!

Wacka wprowadzono. Do 1946 r. pracował w kamieniołomach na Uralu.

## **Powrót do domu**

Na początku września 1945 r., w czasie gdy kończyła się wojna na Dalekim Wschodzie, niektórzy więźniowie wzywani byli do obozowego politbiura, gdzie po badaniach, tzn. przesłuchaniach trwających po kilka dni, otrzymywali dokument, z którego wynikało, że ten i ten więzień zwalniany był z obozu do domu. Do pełni szczęścia potrzebne były tylko podpis i pieczętka. Demokracja sowieckiego obozu polegała na tym, że kto inny podpisywał dokument zwolnienia a kto inny dysponował niezbędną pieczętką.

Na skrzydłach biegł Ojciec, by uzyskać podpis i niezbędną pieczętkę. Wtedy okazywało się, że sierżant chętnie podpisze zwolnienie, ale na dokumencie musi widnieć pieczętka. Ten od pieczętki twierdził natomiast, że nie widzi przeszkód, by podstemplować papier, ale najpierw musi znaleźć się na nim podpis. Chodzono tak od Annasza do Kajfasza po kilka, kilkanaście dni. Niektórzy nie wytrzymywali psychicznie, wieszali się, podcinali sobie żyły. Ojciec uparcie chodził od jednego do drugiego. Wreszcie pod koniec września 1945 r. przewieziono go specjalnym transportem do Białegostoku. Na dworcu, w placówce NKWD zabrano mu przepustkę i srogo pouczone, by z nikim nie rozmawiał o tym, gdzie był, co robił, co widział.

- Jak się dowiemy, to pojedziesz jeszcze raz. Ale tym razem już nie wrócisz – usłyszał. Po kilku dniach znowu załadowano go do pociągu razem z innymi „wolnymi ludźmi” i przywieziono do Warszawy.

Zarośnięci, brudni, zawszawieni, w podartych butach, straszliwych łachmanach, bez grosza przy duszy i niemiłosiernie głodni Ojciec wraz z Felkiem Siwkim zaszli do Ludwiki Jarosławskiej na Pradze, matki wuja Władka Jarosławskiego. Tam dostali spodnie i pieniądze na bilet do Parczewa. Podczas oczekiwania na przesiadkę na dworcu w Lublinie zostali na krótko zatrzymani przez UB, za brak dokumentów. Z Parczewa powędrowali do ciotecznych braci Ojca, Woźniaków, do Miłkowa. Następnego dnia, okrytych kołdrą, przywiózł ich wujek Woźniak do Bełcząca. Byli pierwszymi sybirakami z Bełcząca, którzy powrócili z Rosji. Zbiegli się więc ludzie, pytali co z innymi. Później wracali następni. Nie wróciło dwóch. Na zawsze pozostali na „niehumanitarnej ziemi”.

## Publiczna tajemnica

W dzieciństwie bardzo mało wiedziałem o pobycie Ojca w Rosji. Przyjazd Wacka, urywane fragmenty rozmów to była cała wiedza na ten temat. Tylko jedna bezpośrednia opowieść o wronach, to było wszystko. Reszta faktów docierała do mnie stopniowo od osób postronnych. Ojciec o tym nie mówił; nie chciał mówić; bał się mówić. Gdy czasami coś mu się wymknęło, w jego oczach pojawiały się łzy i zaraz przerywał z głośnym płaczem. Ja sam nigdy nie miałem odwagi o to wypytywać, wiedząc jak ciężkie przeżycia się z tym wiąza. W miarę upływu czasu zdałem sobie sprawę, że jest to ogromny kamień, głaz, który gniecie Jego duszę, zabiera siły i staje się ciężarem, jakiemu trudno podolać. Każda próba pomocy w uwalnianiu Go od tego ciężaru dawała skutek odwrotny od zamierzonego. Był to syndrom gułagu, który miał dla Ojca zabójczy wpływ. Czasami sam brał się z nim za bary i jedynym orężem, który mu w tej walce pomagał był humor, dowcip i śmiech z tych, których należało się bać.

Ojciec nie pił alkoholu. Nie miał zdrowia, nie miał czasu, nie miał pieniędzy „na wódkę”, jak często powtarzał. Pamiętam, że tylko trzy razy popił porządnie, jak amerykański B-52 przed atakiem. Pierwszy raz na chrzcinach Henia. Drugi raz z księdzem Janem Poddębniakiem, jak pojechał do niego po skrzynki po jabłkach. Trzeci raz jak powiózł świnię do geesu w Czemiernikach. Były to końcowe lata pięćdziesiąte. Chodziłem może do V lub VI klasy. Przychodzę ze szkoły – Ojca nie ma. Matka mówi, że pojechał sprzedać 2 czy 3 świnię. Zawsze wracał szybko, nigdzie nie łąził, brał pieniądze i do domu. Godzina druga, trzecia, czwarta – Ojca nie ma. Mama zaczyna się niepokoić. Dziadkowie tłumaczą, że gdyby stało się coś złego, to przecież w Czemiernikach są trzy siostry, trzech szwagrów, teść, teściowa. Ktoś by dał wiadomość. Jeżeli nie wrócił to wiadomo, że coś ważnego go zatrzymało.

Wreszcie koń przyjeżdża sam. Ojciec śpi na wozie. Klatka pusta, tylko Ojciec pijany do nieprzytomności. Nie ma rozmowy. Dziadek wyprzągnął konia, dał jeść, puścił do stajni. Ojca wspólnymi siłami przyprowadzono do domu, położono do łóżka.

Rano budzi się, wstaje i zaczyna opowiadać matce:

- Wiesz, czekaliśmy w kolejce ze świniami do wagi. Heniek Brzyski (sybirak), Felek Siwek (sybirak), ja. A świnię przyjmował Józiek Baran (sybirak).

Okazało się, że z boku stał jakiś „bohater” z LWP i opowiada jaka jemu bieda była w wojsku. Jak cierpiał dla ojczyzny i takie tam bzdury.

- A wiesz, on był krawcem w jednostce. Prochu nie wachał. Ukradł kiedyś z magazynu bele sukna, z którego miał szyć mundury dla kolegów, i sprzedał to sukno jakiemuś cywilowi za bańkę bimbru. Upił się z magazynierem jak ta świnię i po pijanemu opowiedział to oficerowi dyżurnemu, myśląc że to magazynier, z którym kradł. Ten zamknął go do mamra, oddał pod sąd i dali mu miesiąc ścisłego aresztu. To było jego bohaterstwo i poświęcenie dla ojczyzny ludowej.

Gdy skończył swoją opowieść, Ojciec podszedł do tego „bohatera”, mrugnął do kolegów sybiraków i mówi:

- Szkoda, że nie byłś z nami. Zobaczyłbyś takie wszy, że jak która skoczyła na płot, to pies na nią szczekał.

Gruchnęło śmiechem po całej bazie. „Bohater” zmiękł, a klasyfikator Józef Baran mówi:

- Tadeusz, to jest warte 2 litry wódki.

Wyjął pieniądze i wysłał robotnika do sklepu. Pozostali dokąd mieli siłę, stawiali wódkę. Dlatego powrót Ojca do domu troszeczkę się opóźnił.

### Trójkątny list

Ponad 20 listów napisał i oddał do cenzury i wysłania Ojciec podczas pobytu w Stalino-gorsku. Przysługiwało mu prawo napisania dwóch listów w miesiącu. Ojciec z tego prawa korzystał. List miał być napisany na jednej stronie papieru wielkości kartki z zeszytu, pismem wyraźnym, bez skreśleń i poprawek. Wszystkie listy te warunki spełniały. Dlaczego więc do moich dziadków dotarł tylko jeden?

Listonosz przyniósł go pewnego dnia, a następnego było już UB, by list odebrać. Babcia powiedział, że listu nie odda, bo go nie ma. Przekonywała, że gdy go wczoraj przeczytano, wszyscy długo płakali.

- Żeby już więcej nie płakać, wrzuciłam list pod kuchnię i spaliłam – stwierdziła stanowczo.

List był jednak schowany bardzo dobrze. Gdy poszedłem do pracy, Ojciec dał mi go jak najcenniejszą relikwię.

Teraz już wiem, dlaczego ten list doszedł a inne nie. Wynika to z krótkiej jego treści:

*„Kochani Rodzice. Donoszę Wam, że jestem żywy i zdrowy, i jest mi dobrze, i wszyscy jesteśmy razem. Wasz syn Tadeusz”.*



Zbiory własne Marian Mazurek 6/23